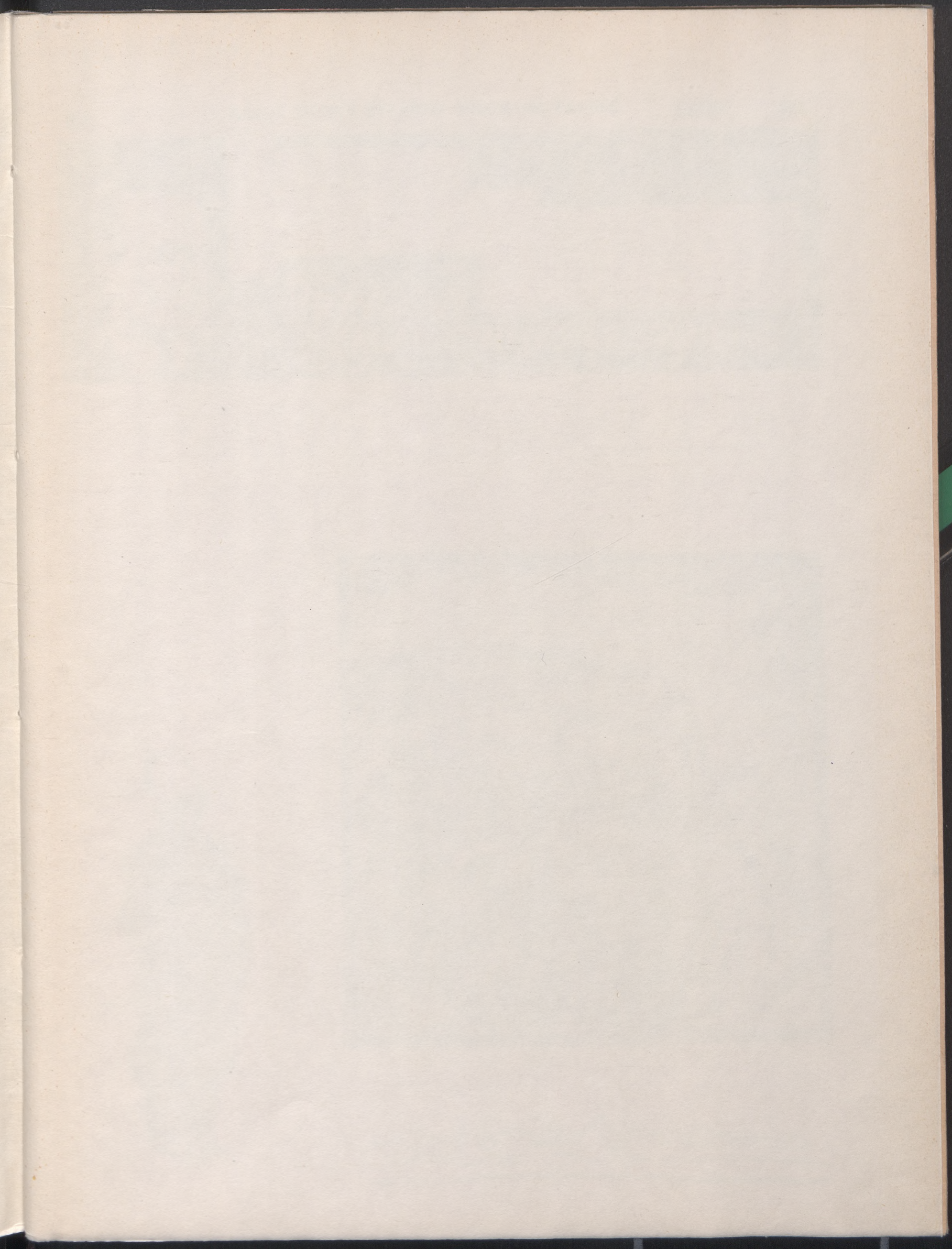


623405\49





III. 623. 405/49

Nr. 49.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

CZERWONY SUŁTAN





HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Czerwony sułtan

Oberża „Pod Trzema Kogutami“ pozostanie na długo w pamięci Harry Dicksona. Mizerny ten zajazd znajdował się w Upper Mall, tuż obok przystani, z której latem odchodzą motorówki-omnibusy do Barnes i Mortlake. Przed oberżą na skrawku trawnika suszyła się bielizna.

Główna izba była stosunkowo duża, kwadratowa, a mebli w niej było tak mało, że kroki detektywa rozlegały się głośnie echem. Na próchniejącym kontuarze stało kilka talerzy, i kilka kufli od piwa. Z tyłu — pokryte kurzem, stały butelki z najtańszymi napojami i kilka beczulek o mosiężnych obreczczach — po piwie jałowcowym. W słoju, otwartym i wystawionym na kurz, leżały już zupełnie pokruszone suchary i biszkopty, a w pudełku obok, leżało kilka lichych, wypłowiałych cygar.

Pięć lub sześć stolików, jedne okrągłe, inne prostokątne i kilkanaście krzeseł, krzywych i kulawych, dopełniały urządzenia.

Ta izba — jak głosiła tekturowa tabliczka — nosiła pretensjonalną i śmieszna nazwę „sali towarzyskiej“. Trzy okna bez firanek pozwalały wejrzeć na podwórze, opuszczone, wiejące przytłaczającym smutkiem. Padało przez te okna ostre światło, podkreślające brzydote sali i jej zaniedbanie.

Harry Dickson, którego dość zmudne, a mało interesujące dochodzenie sprowadziło w te strony — wszedł do oberży, gdyż miało się na deszcz, a wiatr, ostry i chłodny, idący od rzeki, przewiał go na wskroś.

W izbie było chłodno, ogień nie był rozpalony i nie było ani jednego gościa.

Detektyw wchodząc trzasnął mocno drzwiami, aby dać znać o sobie. Ale jakoś nikt nie przychodził. Dickson miał wreszcie dość czekania i zawołał: — Hallo! Jest tam kto?

Echo odezwało się gdzieś w kącie sali, ale nikt się nie zjawił.

Detektyw zastanawiał się przez chwilę: czy powtórzyć wołanie, czy też po prostu pójść sobie... Ale deszcz już padał mocno, dudniąc w brudne szyby zajazdu.

Dziwił się, że nikt nie wychodzi, aby sprzątnąć z trawnika bieliznę, która teraz, zamiast suszyć się, moczyła się na deszczu. Chrzakał kilkakrotnie, aż wreszcie, znudzony tym wszystkim skierował się

ku drzwiom, na których figurował napis „Sala zebrania“.

Kompletne opuszczenie tego lokalu poczyniło w nim wzbudzać pewne zainteresowanie. Dickson minął „Salę zebrania“ równie licha, jak „Sala towarzyska“, i znalazł się w kuchni.

Nieład i brud, jaki tu stwierdził, wzbudziły w nim obrzydzenie.

— Hallo!

Ale teraz Dickson już czuł, że nikt na jego wołanie nie odpowie. Z kuchni prowadziły na górę, wąskie, wewnętrzne schody.

Na pierwszym półpiętrze były drzwi uchylone. Wiodły do małego najpewniej pokoiku.

Widać przez nie było leżąca na ziemi poduszkę. Dickson wbiegł do tego pokoju, świadom już teraz całkowicie, że za chwilę stanie oko w oko z jakimś potwornym dramatem, którego terenem musiała być niedawno oberża.

Na łóżku, w poprzek, leżało ciało. Przewyciężając odruch lęku, Dickson zbliżył się do łóżka. Z piersi jego dobył się krótki, zaraz stłumiony, okrzyk przerażenia.

W oberży popełniono przed kilkunastu pewnie godzinami morderstwo. Zabita była Lady Hortram, osoba należąca do najlepszego towarzystwa londyńskiego. Detektyw rozpoznał ją od pierwszego wejścia.

Lady Hortram zaginęła przed paru miesiącami. Śladów jej nie udało się odnaleźć, mimo największych wysiłków policji.

★

Podamy teraz pokrótce kilka najciekawszych szczegółów dochodzenia w sprawie zaginięcia Lady Hortram.

Wdowa po zmarłym przed rokiem Sir Jerzym Hortramie, choć licząca już z góra czterdziestkę była jedną z najpiękniejszych kobiet stolicy. Po zmarłym mężu nie odziedziczyła wprawdzie wielkiej fortuny, ale miała dość środków, aby prowadzić tryb życia całkowicie niezależny. Mieszkała w swym dużym domu czynszowym przy Lambeth Road, niedaleko parku biskupiego. Wiodła życie spokojne i nosiła z godnością żałobę po swym zmarłym małżon-

Ku, poświęcając cały swój wolny czas filantropii.

Stara gospodyni i nie o wiele młodsza służąca stanowiły cały jej personel.

Lady Berta Hortram wychodziła z domu rzadko nie częściej niż trzy razy w tygodniu — przeważnie do lokalu towarzystwa dobroczynnego przy Boyson Road, niedaleko swego domu.

Drogę odbywała z reguły pieszo, aby zaczerpnąć nieco powietrza.

Przed trzema miesiącami nie przybywała na czas na kolacje, co wzbudziło lekki niepokój w służbie.

— Jest tak ładnie, — pocieszały się dzielne kobiety — że nasza pani pewnie wybrała się na dłuższą przechadzkę.

Ale przyszła noc i Lady Berta nie wróciła.

Służące powiadomiły policję, która jeszcze po trzech miesiącach poszukiwała zaginioną.

Lady udała się owego ostatniego dnia, w którym ją widziano, jak zwykle do świetlicy przy Boyson Road, gdzie spędziła dwie godziny. Rozstała się ze swymi przyjaciółkami, zapowiadając swe przybycie za dwa dni. Widziano ją idącą pieszo w kierunku swego mieszkania.

★

Jeśli chodzi o oberżę „Pod Trzema Kogutami” — oto szczegóły zebrane przez policję już po odkryciu Dicksona.

Zajazd ten był dawniej miejscem zebrania miejscowego związku marynarzy. Właścicielem oberży był przedtem Cheeseman, niegdyś właściciel małego holownika. Po śmierci Cheesemana, t. j. przed pół rokiem, mały lokal nabył niejaki Barlett, również marynarz, rodem z Liverpoolu.

Barlett był kawalerem, zatrudniał jedną służącą, osobę już niemłoda i zagładającą często do kieliszka.

Betsy Bourne — tak się nazywała służąca w oberży Barletta — i jej chlebodawca nie żyli w zgodzie. Trudno było o to między tym dwojgiem ludzi, skoro ona była bardzo często pod dobrą datą, a on — był zawsze zły i zawsze opryskliwy.

Betsy Bourne miała specjalne zamiłowanie do ginu. Dlatego nazywano ją bardzo często Betsy-Gin.

Jasna jest rzeczą, że w tych warunkach oberża z dnia na dzień traciła klientelę. Doszło do tego, że lokal był nieraz po całych dniach zamknięty. Ludzie przestali liczyć, że znajda w nim ciepły posiłek i kieliszek wódki. Przedsiębiorstwo było na skraju ruiny.

Po raz ostatni widziano Barletta w przed dzień odkrycia morderstwa.

Potem już Barlett nie ukazywał się więcej ani w swym własnym domu, ani w najbliższej okolicy.

A oto szczegóły, jakie zebrała policja o Betsy Bourne:

W trakcie poszukiwań nieszczęśliwej Betsy zostało jej ciało wyłowione z Tamizy, tuż koło Westminster Bridge — niemal naprzeciw Scotland Yardu. Ciało nie przebywało w wodzie od dłuższego czasu, a żadnych oznak śmierci gwałtownej na nim nie ujawniono. Przed śmiercią — jak stwierdził lekarz sądowy — denatka piła alkohol.

Barlett, jak wspominaliśmy, pochodził z Liverpoolu. Nic tedy dziwnego, że wywiadowcy zasięgnęli o nim języka w jego rodzinnym mieście.

Ale tam okazało się, że człowiek tego imienia i nazwiska, liczący tyle a tyle lat, zajmujący się niegdyś pracą na statkach — był absolutnie nieznany.

W pokoiku na górze, gdzie leży ciało lady — stały na stoliku resztki posiłku: chleb, wedlina i sar-

dynki. Lady Berta najpewniej tuż przed śmiercią jeszcze się posilała. Musiała nie wiedzieć, co ją czeka, gdyż próbowałyby zbiec. A było to rzeczą zupełnie łatwą, bowiem drzwi nie miały ani zamka, ani klódek. Nie ujawniono w pokoju bielizny ani garderoby denatki. Nie znaleziono nic poza tym, co miała na sobie. Nie mieszkała zatem w tym pokoju od dawna. Zważywszy jej trzymiesięczną nieobecność w domu — musiała gdzieś mieszkać, gdzie przechowywała bieliznę, pończochy, gdzie miała płaszcz cieplejszy, kilka sukien itd. Faktem jednak było, że pokoik na górze, w oberży, nie był jej stałym mieszkaniem.

Raport policyjny kończył się takim krótkim zdaniem:

„Poza tym brak najmniejszych śladów i wszelkich poszlak“.

★

Detektyw zapoznał się jak najdokładniej z tymi raportami policyjnymi. Oczywiście, że podaliśmy je tylko w streszczeniu. Każdy z nich miał charakter ściśle urzędowy, podawał na przykład dokładnie wymiary pokoju, w którym znaleziono ofiarę, plan sytuacyjny, kilka fotografii i t. d. Nie brak również było odpisu orzeczenia lekarskiego, pełnego terminów naukowych z dziedziny anatomii.

To samo dotyczyło ciała Betsy Bourne.

Była to posępna lektura, jej suchość była wysoce tragiczna i wymowna.

Dickson zgadzał się ze swymi kolegami ze Scotland Yardu, że śladów ani poszlak nie było żadnych. Tym bardziej trzeba było rzecz badać od wewnątrz, od pobudek, od ukrytych, niewidocznych najpewniej związków, istniejących pomiędzy aktorami tej ponurej tragedii w oberży.

A zatem — pierwsze pytanie:

„Dlaczego pozostający dotychczas w cieniu i całkowicie nieznany Lew Barlett, nabył od spadkobierców Cheesemana ten zruinowany dom?..“

Niewątpliwie musiał mieć w tym jakiś cel, coś musiało w tym domu być takiego, co dla Barletta miało wartość szczególną.

Po tym pierwszym pytaniu i pierwszej nań odpowiedzi, detektyw zastanawiał się dalej:

— Ukryta wartość tej nędznej oberży musiała być znaczna, skoro Barlett zapłacił za nią podobno bez targów okrągłą sumę i to po to tylko, aby całe przedsiębiorstwo bardzo szybko porzucić i skazać na zupełny upadek.

Po kilku dniach detektyw dotarł do spadkobierców Cheesemana, sklepikarzy w Mile-End. Mr. Cheeseman był właśnie pogrążony w sprawdzaniu rachunków swych dostawców.

— Jestem Harry Dickson, — przedstawił się detektyw.

— Jak?... Co pan powiedział? Czy się nie prześlizgałem?

— Harry Dickson.

Mr. Cheeseman, typowy buchalter, szczupły, zasuszony człowieczek, zerwał się od stołu:

— Harry Dickson, najslawniejszy detektyw, w moim domu?

— Jeśli pan pozwoli.

Nagle Cheeseman zmarszczył czoło, zmrużywszy oczy i począł niskim, podniesionym głosem:

— A co ja takiego zrobiłem, że pan do mnie przychodzi?... Co mi pan ma do zarzucenia? Jestem uczciwym człowiekiem! Wcale sobie nie życzę wizyty takich znakomitości!

Takiego przwiecia detektyw nie spodziewał się. Przeważnie ludzie czuli się zaszczytzeni jego wizytą

I nie wiedzieli gdzie go posadzić, a ten tutaj po prostu go wypraszał.

— Przychodzę do pana z prośbą o pomoc. Władze sprawiedliwości Wielkiej Brytanii przez moje usta proszą pana o okazanie im pomocy.

Ta tyrada poskutkowała. Mr. Cheeseman od razu się udobruchał. Nie chciał dać do poznania jak bardzo zochwyca go misja, do której, w swym przekonaniu, został przez Dicksona powołany. Zatarł dłonie i rzekł niskim głosem:

— Proszę bardzo, słucham pana. Czym mogę służyć...

— Chodzi o Mr. Cheesemana-seniora, zmarłego niedawno, po którym odziedziczył pan oberżę „Pod Trzema Kogutami“.

Młodszy pan Cheeseman chrząknął z powagą:

— Wie pan, — rzekł w skupieniu, — że choć i ja nazywam się Cheeseman, ale z moim nieboszczykiem kuzynem, bo to był mój kuzyn właśnie — spotykałem się bardzo rzadko. Był ode mnie o wiele starszy i tyle tylko wiem o nim, że jako młody człowiek podróżował wiele, podobno nawet jako marynarz, a więc zawodowo podróżował. Później miał bardzo różne zajęcia, nawet miał jakąś budę jarmarcznią, gdzie pokazywał panoramy czy coś w tym rodzaju. To byłoby wszystko.

— Czy nie przypomina pan sobie nic ponadto? Wszystko co dotyczy zmarłego interesuje mnie mocno.

— Gdy władze wymiaru sprawiedliwości Zjednoczonego Królestwa pytają mnie przez pana usta, czy nie wiem nic więcej — nim odpowiem, winienem zastanowić się poważnie.

Mr. Cheeseman rzeczywiście zastanowił się poważnie i trwał w tym zastanowieniu przez dłuższą chwilę.

— A tak, — rzekł. — Mam tutaj jedną rzecz po nim: obraz. Nieduży obrazek, malowany jego własną ręką. Podobno miał nawet poważne zdolności do malarstwa. Nie wiem skąd się ten obraz wziął w moim domu. Ale fakt-faktem, że obraz jest. Zdaje mi się, że zabiłem nim szparę w drzwiach, żeby nie wiało. Chyba pana to dzieło sztuki nie interesuje?...

— Ależ interesuje mnie, i to nawet bardzo...

Mr. Cheeseman wstał, przeprosił gościa na chwilę i po trzech mniej więcej minutach wrócił z jakąś czarną ramą w ręku. Obrazu nie było prawie wcale widać. Jakiś brudny kawałek naciągniętego na karton płótna ujęty był we wcale ładną ramę.

Detektyw podszedł do okna, otworzył je i dmuchnął na obraz. Uniósł się tuman kurzu, który pokrywał malowidło.

Mimo to kolorów jeszcze widać nie było.

— Czy mogę prosić pana o nieco oliwy?

Detektyw począł powoli trzeć powierzchnię obrazu. Kolory wystąpiły z wielką żywością. Wreszcie cały obraz był czysty.

— A to ciekawe! Wcale nie wiedziałem, że to taki ładny obrazek.

Mr. Cheeseman nie oglądał jeszcze nigdy dzieła swego spadkodawcy w takim splendorze.

— Pański kuzyn miał w każdym razie prawdziwy talent.

Istotnie, rzecz była namalowana z dużą znajomością rzeczy i przedstawiała bardzo piękny, przesycony światłem pejzaż południowy. Ciemno lazrowe morze, niebo o mocnym błękitcie i wiele minaretów w oddali, a na pierwszym planie bulwar wv-

kładany marmurem — świadczyły, że jest to widok Złotego Rogu z fragmentem Stambułu w oddali.

Obaj mężczyźni przez chwilę przyglądali się obrazowi w milczeniu.

— Bardzo interesujące, — rzekł detektyw.

— Dam nową ramę i powieszę ten obraz w salonie. To był swoją drogą niezwykle człowiek, ten mój kuzyn.

— Czy nie przypomina pan sobie w jaki sposób nawiązał pan kontakt z Barlettem?

— Naturalnie, że sobie przypominam. Zawia-domili mnie adwokaci, że odziedziczyłem po zmarłym kuzynie sto z czymś funtów w gotówce, trochę rupieci i stara, rozwalająca się w proch rudere, której napewno nikt nie kupi, ani nawet nie wydzierżawi. Naturalnie, że pamiętam doskonale Lew Barletta, który zjawił się niespodziewanie i od razu zao-fiarował mi za tę starą rudere — całych 600 funtów!

— Jakie wrażenie uczynił na panu Barlett?

— Człowiek na miejscu, chociaż trochę mrukliwy. Ubrany był jak wszyscy marynarze. Byłem pewien, że jest to jakiś kolega mojego kuzyna.

— Nie przypomina pan sobie, by ten człowiek pytał pana o coś szczególnego...

Sklepikanz znów się głęboko zastanowił.

— Nie... Chyba to jedno, że mnie zapytał, czy byłem w zażyłości z kuzynem... Gdy mu odparłem, że nie, żeśmy się prawie nie znali — był z tego zadowolony. Nawet bardzo zadowolony. To mnie trochę zdziwiło. Czy to pana interesuje?

— Owszem. Nawet bardzo mnie interesuje.

— Aha... Teraz przypominam sobie jeszcze, że Barlett pytał mnie o przeszłość mego spadkodawcy, a gdy mu powiedziałem, że, między innymi, miał budę jarmarcznią z jakąś panoramą, czy czymś w tym rodzaju — począł mnie dopytywać bardzo energicznie i z wielkim zainteresowaniem właśnie o rodzaj widowiska, z jakim zmarły objeżdżał jarmarki. Odpowiedziałem mu, że miał to być podobno teatr iluzji optycznych, z lustrami i innymi cudami. Mój rozmówca roześmiał się wtedy w nos; był w tym momencie bardzo antypatyczny.

Pozostał jeszcze kilka minut, jakby się namyślał nad dalszymi pytaniami, aż wreszcie poszedł sobie.

Dickson wrócił tego dnia na Baker Street wprowadzając mocno zamyślony, ale bynajmniej nie zmęczony.

— Mam punkt oparcia, wiem od czego zacząć — zwierzał się wobec swego ucznia — Toma Willsa.

— Dom? — rzekł Wills.

— Zgadłeś mój chłopcze. — Właśnie dom — właśnie oberżę „Pod Trzema Kogutami“. Ta rudera musiała mieć dla Barletta jakąś wartość szczególną. Domyślałem się tego i przed tym, ale teraz jestem o tyle — że tak powiem — mądrzejszy, że wiem, gdzie tej wartości szukać. Czy nie uważasz, że to tajemnica domu, w którym zginęła Lady Berta musi mieć jakąś łączność z budą jarmarcznią Cheesemana?

— Bardzo możliwe. Ale przecież przeszukał pan cały dom od góry do dołu. A ponieważ uczynił to nikt inny — tylko mój mistrz, pewien jestem, iż nie ma w tym domu już teraz dla pana tajemnic.

— A jednak... Wydaje mi się, że do sedna zagadki, mimo skrzętnych poszukiwań, nie dotarłem. Tam musi coś być...

Detektyw przez chwilę się zastanawiał. Nagle zwrócił się do Toma:

— Połącz mnie z sekretarzem Scotland Yardu. Dickson ujął słuchawkę:

— Czy to sierżant Slatter? Dzień dobry, sierżancie.

Dickson przykrył dłonią słuchawkę i zwrócił się do Toma:

— Notuj, proszę cie. — Poczem, zwracając się do swego rozmówcy, kontynuował: — Czy mógłby mi pan, sierżancie, podać miejsca jarmarków, z karuzelami, strzelnicami itp. budami rozrywkowymi, odbywających się obecnie w Londynie?

— Największy jarmark jest obecnie w Shoreditch, reszta — to bardzo małe.

— Proszę o adresy tych mniejszych również.

Tom Wills, z dodatkową słuchawką w ręku, notował.

Dickson podziękował sierżantowi.

— Pójdziemy na jarmark!... Taka praca — to przynajmniej rozumiem, żartował Tom.

— Tak jest. Zabawimy się trochę. Zaczniemy od jesiennego jarmarku w Shoreditch. To również jarmark, sławny na całą Anglię.

Tajemniczy Marcin Jengl

O tej samej porze, gdy Dickson i jego uczeń wybierali się na zabawę ludową w jednym z kawalerskich pokojów dużego domu przy Colwyn Street zajmował się pewien młody człowiek dość dziwnymi czynnościami. Siedział oto przed oknem swego bardzo kosztownie urządzonego pokoju i raz po raz przykładał do oczu potężną morską lornetę. Czyścił szkła, odkrecał je i zakrecał, przyglądał się cyfrom, w jakie zaopatrzona była skala i póty coś majstrował przy lornecie, aż, widząc zadowolony z siebie, rzekł głośno:

— Dobra jest! Teraz — do roboty!

Młody człowiek zgasił światło w pokoju, i odsłoniwszy firankę u okna, siedł wygodnie w fotelu i zajął stanowisko obserwacyjne.

Z lunetą przy oczach nie spuszczał teraz wzroku z okna domu, dość odległego, położonego na przeciwko.

— Tym razem nie zrobią mi takiego kawału, jak przed tym. Nie zasłonią firanek. Ten tapicer Peacock dobrze się spisał, że te firanki usunął. Dwa funty kosztowało, ale warto było.

Pokój, któremu się nieznajomy tak uporczywie przyglądał, czynił wrażenie trochę buduaru, a trochę gabinetu, ale w każdym razie gabinetu pani.

Biureczko małe, najnowszego fasonu, stało pośrodku. Tuż obok — lampa wysoka, stojąca, z abażurem. W kącie lustro, a przed nim rodzaj gondoli, obitej puszystym futrem. Nie brak było w pokoju szerokiego tapczana, a nad nim licznych półek z książkami.

Pokój był pusty.

Ale świadom snąc zwyczajów jego mieszkańców — obserwator z lornetką nie przestawał wpatrywać się w drzwi — oczekując widać, że lada chwila ktoś się w nich ukaze.

Cierpliwość młodego człowieka została wreszcie wynagrodzona.

Drzwi się otworzyły. Cień jakiś ukazał się w ich wykroju. Cień skierował się wprost ku biurku. Z jednej z szuflad jakaś dłoń wydobyła plikę papierów. Poddane dokładnym oględzinom papiery wróciły na swe miejsce.

Snąc ten, który szukał w biurku, nie znalazł tego, czego mu było potrzeba. Bo oto szukał z coraz większą niecierpliwością... Zatrzasnął wreszcie szufladę, odszedł od biurka i siadł na tapczanie. Te-

raz dopiero cień przeobraził się w człowieka z krawi i kości.

Była to niemłoda już kobieta. Usiadła w pobliżu lampy, z głową wspartą na dłoniach.

— Szatan! — krzyknął nieznajomy z lornetą.

Kobieta w odległym pokoju rzucała niespokojnym spojrzeniem po pokoju.

— Wiem ktoby dał dużo, żeby cie zobaczyć w tej chwili, więdźmo! Harry Dickson i cały Scotland Yard bardzo pragną spotkania z tobą! Ale to nie moja sprawa... Ja mam swoje własne interesy.

Nieznajomy nie przestawał przyglądać się kobiecie. Był widać w dobrym humorze, gdyż mówił do siebie:

— Minałem się z powołaniem. Trzeba mi było zostać detektywem... Możeby nawet był wcale niezłym konkurentem tego z Baker Street... Kto wie?... Mniejsza zresztą o to... Każde zajęcie jest piękne, gdy się mu przyglądać zdaleka. Może moje jest najmniej ładne... Ale trudno.

Nieznajoma ciągle siedziała na tapczanie. Była wyraźnie zdehumorowana.

— Nie znalazłaś — to pewne. Oto w tej chwili mi chodziło. Mógłbym cie skierować na szubienicę, ale coby mi z tego przyszło, gdybyś zawisała na stryczku, więdźmo jedna... Zresztą jeszcze sie zobaczymy, moja piękna pani...

Kobieta w pokoju wstała z tapczana i, wychodząc, zgasila światło.

— Na dziś — starczy, — rzekł do siebie młody człowiek. — Odłożył lornetę i dalej mówił do siebie: — Miałem zamiar już zacząć szukać na własną rękę, ale widzę, że masz większe niż ja w tej robocie obycie — więc szukaj za siebie i za mnie...

Zapalił światło, starannie zasłaniając u siebie rolety, zmienił bardzo ładny jedwabny szlafrok i przebrał się w stary, zniszczony już mocno, źle skrojony garnitur, wytarty kapelusz i w stary płaszcz nieprzemakalny.

Rysy młodego człowieka, delikatne i zdradzające inteligencję, zmieniły się nagle. Twarz przybrała wyraz prawie wulgarny. Z niedopałkiem marnego papierosa w ustach — nieznajomy wyszedł na ulicę.

Wyglądał, mówiąc gwarą policyjną, jak typowy „podejrzliwy osobnik“.

Drzwi od jego pokoju zamknęły się za nim. Na tabliczce figurował napis: Mr. Lionel Redmond Esq.

Z Colwyn Street młody człowiek udał się na Kennington Road. Szedł kołysząc się lekko i gwizdał głośno, mocno fałszując, najnowszą melodię z filmu. Na rogu Chester Street wskoczył do autobusu, idącego w kierunku Bermansev.

Harry Dickson zająłby się tym młodym człowiekiem napewno bardzo gorąco. Okno bowiem, które było przedmiotem jego obserwacji — było oknem mieszkania lady Hortram przy Lambeth Road, a pokój, w którym stało biureczko i tapczan, był gabinetem pracy i zarazem buduaru Lady Berty Hortram.

Shoreditch jest dzielnicą bardzo ubogą i o zły sławie, ale jarmark jesienny cieszy się tu zasłużonym rozgłosem w całym Londynie. Na wielkim terenie mieszczą się karuzele parowe, huśtawki, kolej górską, namioty z pokazami silaczy, okropności, tresowanymi pchłami itd. itd.

Można być biednym jak Job i gołym jak święty turecki, ale kilka pensów na jarmark w Shoreditch znaleźć trzeba koniecznie. Nugat w kilku handlach, nagrody w jednej ze strzelnic i rzucanie kó-

też na szybki butelek — to są uciechy, których sobie odmawiać nie wolno.

Dzień był chłodny, ale suchy. Pogoda była w sam raz, aby skakać i śmiać się. Na północnym krańcu terenu, gdzie taksa pobierana od rozmaitych bud jest najtańsza, wznosił się namiot oświetlony lichy i na pierwszy rzut oka dość mizerny.

Clown, kiepsko ucharakteryzowany, opowiadał ludziom cuda o tym, co w tym właśnie namiocie zobaczyć można. Opowiadał bez entuzjazmu. Słuchała go grupka gapiów, składająca się najwyżej z dziesięciu osób, z których wszyscy razem nie mieli pewnie tyle, aby kupić jeden bilet wejścia.

— Wchodzić panowie! Wchodzić. Brać! Brać! Tego nie widzi się codzień, tego nie widzi się raz na tydzień, tego nie widzi się raz do roku! To się widzi tylko raz w życiu! Raz jeden w życiu, panowie! Panorama cudowności!

PISTOLET-AUTOMAT „GROM”

Przeznaczaliśmy dla reklamy nowe 5.000 sztuk doskonałych pistoletów

Fason belgijski. Kal. 6-cio mm. Repetuje się przed każdym strzałem, automatycznie wyrzuca łuski. Huk ogłuszający.



Idealna obrona przed napadem! Wykonanie luksusowe: lufa pięknie oksydowana, rękojeść kryta lśniącem bakelitami! Waga 200 gr., długość 10 cm., szer. 5 cm. Gwarancja fabryczna na 5 lat. Cena tylko zł. 6.95, 2 sztuki 13.50. — Sętka naboju syst. „Flobert” zł. 3.65. Zabezpiecza od mimowolnego strzału. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płać się przy odbiorze. Adresuj:

Kazimierz Kołodziejczyk

Warszawa I. Pl. Nap. skrz. poczt. 802 H. D.
Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.

Gapie podchodzili bliżej i starali się jakoś zajrzeć do środka. Błazen krzyczał tymczasem dalej:

— Proszę bardzo! Niezapomniane wrażenia! Dzieci za pół ceny!

Nikt nie wszedł.

Błazen wyjął z szerokich spodni kieszeni pudełko, skręcił papierosa i zaczął palić.

Interes szedł bardzo źle.

Nagle jakiś wesóły głos zwrócił się do błazna:

— Kiepsko idzie, Bunny! Nie martw się. Ja ci zawodu nie zrobię.

W obszar światła przy namiocie, wszedł od strony placu Mr. Lionel Redmond Esq. Clown uczynił grymas zniechęcenia.

— Nie idzie zupełnie, panie dyrektorze. Od godziny dre się na tym miejscu i wszystko na nic. Pięciu ludzi jest we środku. Jeżeli nie chcemy im zwrócić forsy — trzeba dać przedstawienie. Minęły czasy takich optycznych iluzjonów...

Błazen spojrzał na szyld nad budą:

— Tamten zabrał całą śmietanę. Za jego czasów — to była pierwszorzędna atrakcja. Ale teraz, kiedy kino jest na każdym rogu?...

Clown wskazał palcem na napis:

„Panorama Cudowności”. Ósmy cud świata. Podróż w fotelu. Jedyne teatry iluzji w świecie Filii nie posiadamy. Właściciel: Arno Cheeseman. Dyrektor: Marcin Jengl.

— Właśnie czekaliśmy na pana, dyrektorze. Czas już zacząć.

— Tak... Dobre czasy już minęły. Cheesemanowi powodziło się stokroć lepiej. Co robić...

— Był z niego ordynus jakich mało, ale znał się na fachu. Co też panu dyrektorowi strzeliło do głowy, że akurat te właśnie bude kupić, zamiast włożyć kapitał w karuzelę, w jakąś kolej górską, czy w coś w tym rodzaju.

— Widać nie miałem dosyć pieniędzy na tamte rzeczy. Zaczynamy, ludzie czekają...

Jengl wszedł do „sali”. Ściany namiotu były od wewnątrz obciążone czerwonym płótnem, bardzo lichym i już w wielu miejscach podartym. Drewniane ławy stały na „widowni” — prawie zupełnie puste.

Przed małą scenką stał gramofon zastępujący orkiestrę. Tuż obok stała publiczność: dwóch cywilów, marynarz w swetrze i dwie dziewczyny bez kapeluszy.

Pan dyrektor Jengl, ten sam, który przez lornetę z taką uwagą śledził co się dzieje w mieszkaniu zamordowanej lady Berty, ten sam, na którego drzwiach figurował napis: Mr. Lionel Redmond Esq. — nawet nie zaszczyił P. T. Publiczności jednym spojrzeniem.

Wszedł za kulisy i stamtąd dopiero przyjrzał się publiczności dokładnie.

Na twarzy jego odmalowało się wielkie zaniepokojenie.

— Sam pan Harry Dickson wraz ze swym uczniem Willsem u mnie!... To ciekawe!

Jengl przyglądał się detektywowi długa chwila.

— Czy przyszedł tutaj jako wróg?... Chyba nie. Ani się nie ucharakteryzował, ani się nie przebrał. Ale kto go może wiedzieć!... Czasami gorzej jest mieć z nim do czynienia, gdy nie jest ucharakteryzowany niż, gdy udaje na przykład stara przekupkę.

Młody człowiek wzruszył ramionami i przejrzał się w lustrze. Od chwili, gdy opuścił swe mieszkanie, dokonał po drodze jeszcze dalszych zmian, które miały unicestwić w jego rysach wszelkie podobieństwo z Mr. Redmondem. Przylepił sobie po drodze mały, a la Charlie Chaplin, wąsik, podbił sobie zlekka oko i kilku pociągnięciami ołówka nadał swym policzkom tak opłakany wyraz, jakby nie jadł od dawna.

Był widać z tych oględzin samego siebie zadowolony, gdyż skierował się ku kabinnie obserwatora, ciągle mówiąc do siebie:

— Po tym Dicksonie można się wszystkiego spodziewać. Nie wolno przypuszczać, aby przyszedł do tej budy przez zwykły przypadek... Taki człowiek, jak on, ma lepsze rozrywki. Nasz Harry szuka czegoś, szuka tego samego, czego i ja szukam. Może ma inny cel, ale nasze drogi są wspólne. Kto będzie pierwszy, mistrzu?... Zobaczymy.

To mówiąc, pan dyrektor zapalił kilka świateł pod odpowiednimi lustrami, coś tam puścił w ruch i zbliżywszy się do megafonu, który wzmacniał jego głos — rzeczą:

— Ladies and Gentleman! Panowie i Panie! Przedstawienie, które za chwilę będę miał zaszczyt państwu zaprezentować, to nie kinematograf, ani nic w tym rodzaju. Jest to dawna panorama, wzbogacona i uzupełniona najnowszymi zdobyczami techniki. Zechcą szanowni państwo zwrócić uwagę, że wszystkie przedmioty ukazują się naszym oczom jako plastyczne, czyli wypukłe, zupełnie jak w naturze, że barwy są naturalne a postacie poruszają się, choć bynajmniej nie jest to film. Mam nadzieję,

że nasze widowisko przypadnie P. T. Publiczności do gustu.

— Wole kino! — krzyknął ktoś z sali.

Błazen Bunny był na posterunku:

Dyrekcja zastrzega sobie prawo wydalenia z sali każdego z P. T. Publiczności, kto okaże się winny zakłócania porządku.

— A co z pieniędzmi? — rzucił jakiś marynarz.

— Pieniądze nie zostaną zwrócone. Przeciwnie. Dyrekcja wystąpi przeciwko takiemu panu z procesem o straty i napewno proces wygra.

— Spokój! — wrzasnął megafon.

— Zaczynamy, — rzekł spokojnym głosem Bunny, gdy już cisza nastąpiła kompletna.

— Obraz pierwszy: „Na Tamizie” — rzekł głos z budki operatora.

W małym wykroju scenki pociemniało najpierw, ale potem, powoli w coraz większej jasności zaczął się ukazywać pejzaż: było to istotnie wybrzeże Tamizy koło Tower Bridge. Pod mostem przepłynął statek.

Obraz był tak prawdziwy, było w nim tyle prawdziwego, niczym nie zakłamanego życia, że kilku z widzów poczęło głośno dokumentować swe zadowolenie.

— Wcale niezła rzecz, jak babcie kocham! — rzekł ten sam marynarz, który gotów był wszcząć kłótnię z clownem.

— „Na pełnym morzu” — zapowiedział z rów operator.

Scena ta trwała przez czas jakiś. Nowej nie było. Tym właśnie różnił się ten pokaz od filmu. Nie było błyskawicznych zmian obrazów, do których tak przyzwyczyli nas kino. Tutaj każdy obraz wymagał specjalnego przygotowania. I dlatego tych obrazów nie było wiele.

— „U wrót Stambułu” — oznamił wreszcie człowiek z budki.

W tej samej chwili clown Bunny zbliżył się do dyrektora Jengla i rzekł mu do ucha:

Panie dyrektorze, ten człowiek jest. Jest, jak co wieczór. Siedzi na ostatniej ławce. To już będzie pewnie jego miejsce.

Jengl skinął lekko głową:

— Dobrze Bunny. Siadał na moim miejscu i kręć ten młynek. Ja tymczasem spróbuję przyrzeć się temu jegomościowi z bliska. Zbliżył się najpierw do przepierzenia, które oddzielało scenę od widowni i spojrzał w kierunku wskazanym przez clowna.

Nieznamy był na swoim miejscu.

— Pan szanowny jest naszym stałym gościem, — mówił swoim zwyczajem Jengl do siebie. — Codzień zaszczyca pan nasz zakład swoją obecnością... Czemu to można ten zaszczyt przypisać, szanowny panie?... I zawsze znikła pan nagle, ukrywa się gdzieś w mrokach nocy, że na nic były moje poszukiwania za szanownym panem...

Dyrektor przez dłuższą chwilę przyglądał się bacznie temu człowiekowi, odzianemu w długi płaszcz, którego twarz zasłaniał kapelusz i podniesiony kołnierz od palta.

Jengl miał właśnie zamiar wrócić do swej kabiny i opuścić swój punkt obserwacyjny, gdy wzrok jego padł na Dicksona.

— Pan Dickson także?... I pana ten spektakl interesuje?... A niech-że to! Już od dawna nie widziałem oczu tak lśniących, jak oczy tego detektywa. Takie oczy, jak na coś spojrzą — to już — umarł w butach: nie zapomną nigdy!

Cheeseman to było bardzo ładnie wymalował — to prawda... Ale właściwie o co chodzi, proszę łaski państwa?..

Kiwając ze zdziwienia głową — dyrektor Jengl wydał dyspozycje błaznowi.

— Zamknijemy zaraz po tym przedstawieniu. Tutaj nie ma na co czekać. Miałeś rację, Bunny. Najlepsza karuzela — dałaby więcej. Dama z brodą, karzeł choćby nie najlepszy — to pewniejszy interes, niż te piękne rzeczy, które my pokazujemy.

Jengl wyszedł na plac, schował się za najbliższy wóz jarmarczny w ten sposób, aby mieć całe wejście do swego namiotu na oku i czekał.

Krótko potem sala opróżniła się. Widać Bunny skrócił seans.

Między innymi Harry Dickson i Tom Wills skierowali się ku głównej alei Wesołego Miasteczka, a nieznamy ruszył w kierunku Green Road.

Niebo zaszło tymczasem chmurami. Nad miastem zawisła gęsta, londyńska mgła.

„Marcin Jengl pośpieszył za człowiekiem w długim płaszczu. Mruczał po drodze wyrazy wcale nie salonowe pod adresem mgły.

— Jeszcze kilka minut, a będziemy mieli mgłę, że najbliższemu przyjacielowi nie potrafisz zębów wybić, choćbyś z nim spacerował pod reke. — mruczał Jengl.

Nieznamy w długim płaszczu skręcił przy rogu Church - Street i skierował się ku ciemnym uliczkom Old Nicholl.

— Codziennie idzie gdzieindziej, — mówił do siebie śledzący go Jengl.

Byli teraz w ciemnych uliczkach. Nagle Jengl zatrzymał się i przywarł do muru.

Nieznamy stanął pośrodku jezdni, wyjął papierosa i szykował się, aby go zapalić.

W tym samym momencie Jengl dojrzał jeszcze kogoś. Z ciemności wynurzyła się szczupła sylwetka i przebiegła na drugą stronę ulicy.

Nieznamy w długim palcie zapalił zapalną. Trzymał ją w dziwny sposób prawie nad głową. Jakby dawał sygnały.

Jengl nie umiał sobie ani potem, ani tymbardziej wówczas, zdać sprawy skąd się wziął nagle duży samochód na tej małej uliczce. Samochód wyprzedził Jengla i zatrzymał się po chwili.

Z maszyny, z szybkością błyskawicy wyskoczył jakiś człowiek, dopadł owego szczupłego przechodnia, coś mu zarzucił na głowę i porwał go do wozu.

Ale był ktoś, kto był równie szybki jak porywacz.

Był nim Marcin Jengl, który bez chwili namysłu z błyskawiczną szybkością wskoczył na walizę, umieszczoną na tyle samochodu.

Usadowiony w ten sposób, nie zauważył właściciel „Panoramy Cudowności”, że i ów człowiek w długim palcie zajął miejsce w samochodzie, tuż obok szofera.

— Biedny Tom Wills, — mówił do siebie Jengl, — porwali go jak jaką donnę hiszpańską. Dobrze, jeżeli już się tak wszystko składa, gotów jestem pomóc temu małemu. Naturalnie, że i o swoich interesach przy tym nie zapomnę.

Tom z wielkim worem zarzuconym na głowę i ręce — nie mógł drgnąć. W wozie został ów worek mocno usznurowany.

Biedny uczeń mistrza Dicksona był skrepowany w sposób bestialski. Czud, że mu coraz trudniej oddychać, a członki bolały go dotkliwie.

Znak hydry

Winniśmy czytelnikowi kilka wyjaśnień.

Jasną jest rzeczą, że z chwila, gdy w budzie Cheesemana ukazał się obraz zwany „U wrót Stambułu“ — Harry Dickson poczuł, że jest nareszcie już na całkiem właściwym śladzie zagadki, zdawałoby się nierozwiązalnej. Widok bowiem, jaki się roztoczył na scenie, był identyczny z tym, jaki oglądał detektyw u spadkobiercy Cheesemana.

— Bardzo był z pana dziwny człowiek, szanowny panie Cheeseman. Podróżnik zawołany, malarz o dużym talencie, właściciel budy jarmarcznej i jednocześnie wynalazca, bo przecież ta panorama to prawdziwy, choć może nie dający się należycie eksploatować wynalazek — i wreszcie właściciel tej marnej oberży w okolicach Hammersmith!...

— Dlaczego — mówił do siebie dalej detektyw — wdał się pan, Mr. Cheeseman — w tę aferę właścicieli bud jarmarcznych i szynkarzy? Dlaczego wreszcie został pański dom za tak wielkie pieniądze nabyty przez owego Braletta!

Dlaczego znalazła się tam taka dama, jak lady Mortram i kto, z jakiego powodu ją zabił?...

Jengl, nie dojrzał go, idącego za owym osobnikiem w długim palcie.

Wiemy już co się stało z Tomem.

Oczywista, że auto z porywaczami zjawilo się w chwili, gdy nieznajomy dał gdzieś ukrytemu ze swym wozem szoferowi sygnał zapaloną zapalką w wysoko podniesionej dłoni.

Pozostawmy na chwile Toma jego losow i zajmijmy się Dicksonem. Bunny zamknął namiot i skierował się do oberży, w której od lat co wieczór prześadywał.

Marcin Jengl wyniósł się tak szybko, że go detektyw nie zauważył.

Dickson nie szukał młodego człowieka.

— Zobaczmy się jeszcze z panem dyrektorem, — rzekł do siebie. — Nie ładnie tak wychodzić bez pożegnania, młody człowieku.

Dickson zamyslił się.

— Gdzieśmy się już widzieli, szanowny panie dyrektorze, — monologował dalej. — A może mi się tylko wydaje? — Trzeba będzie to wszystko zbadać dokładnie.

Na placu poczynały gasnąć światła. Zabawa kończyła się. Detektyw czekał właśnie na tę chwile.

ARTRETYZM; REUMATYZM

to jedna z plag ludzkości!



NALEZY JUZ PIERWSZE BOLE I RWANIA W NOGACH I REKACH TRAKTOWAC POWAZNIE I ZACZAC STOSOWAC

KLEROL-MAŚĆ; PŁYN
do kąpieli PRZECIW REUMATYZMOWI I ARTRETYZMOWI

KLEROL — MAŚĆ WSYSA SIĘ CAŁKOWICIE W PORY SKÓRNE NIE BRUDZI NIE PLAMI

Dzięki rozpuszczalności Klerolu w wodzie stosować go można do kąpieli

KLEROL DO NABYCIA w APTEKACH i SKŁADACH APT.



Detektyw westchnął ciężko i uśmiechnął się sam do siebie. Zdał sobie oto sprawę, że przecież to ostatnie pytanie stawia sobie już nie po raz pierwszy.

— Gdy będę na te pytania miał odpowiedź — będę gotów — rzekł znów do siebie Dickson.

Takie myśli snuł detektyw w chwili, gdy przed jego oczyma, doprawdy niczym wyczarowane na niewielkiej scenie, przesuwwały się pełne uroku i plastyki obrazy Stambułu:

Człowieka w długim palcie dojrzał detektyw od pierwszej chwili. Baczno jego oka nie uszła pewna charakterystyczna ta postać.

— Za mocno się maskuje, żeby miał czyste sumienie, — pomyślał Dickson.

Instynkt mu mówił, że ten człowiek jest zamieszany w całą sprawę.

— Trzeba będzie zbadać, co to za jeden.

Detektyw pochylił się ku Tomowi i w kilku słowach wydał mu dyspozycje.

Postanowili, że on — Dickson — przepytą sąsiadów i właściciela tej budy. Tom zaś będzie śledził nieznajomego.

Tom był mistrzem w tym zakresie. Potrafił tak się ukrywać, że nawet człowiek tak sprytny, jak

Stwierdził, że przedostać się do wnętrza namiotu było blahostką. Rozejrzał się wokół. Było pusto i ciemno. Padł na ziemię i przeczołgał się pomiędzy płócienną ścianą namiotu a ziemią.

Po chwili był już we środku.

Było tutaj cicho zupełnie. Cisza ta onieśmieliła Dicksona do tego stopnia, że w pierwszej chwili nie decydował się na przejście przez widownię. Snać i tutaj ostrzegł detektywa jego zawsze niezawodny instynkt.

Nagle bowiem dosłyszał jakieś stłumione skradające się kroki z drugiego końca widowni.

Dickson w oka mgnieniu skrył się za kawałem płótna w tym miejscu, gdzie dwie części brezentowej ściany zachodziły na siebie. Sam będąc niewidoczny, mógł obserwować tamtych. Było ich dwóch. Po chwili skradania się — czując się zupełnie bezpiecznie, szli teraz śmiało i mówili głośno.

— Też mi zajęcie?... Obrazów szukać.

— Żeby tylko obrazów, — odparł drugi. — Plamek na obrazach.

— Wariata struga, czy co?...

— Cicho!... Z nim nie dobrze żartować. To ostry facet!

— Za sceną mówił, prawda?...

— Tak. To tam gdzieś musi być...

Poszli za scenę. Słychać było jak się tam kręca, jak potracają jakieś przynzady...

— Jeszcze geografii trzeba do tego fachu znać...

Też mi wymagania...

— Widok Stambułu — powiedział.

— Co to niby jest Stambuł?...

— Nie wiesz, co to Stambuł?... A na operetce nie byłeś? „Róża Stambułu“? Więc to jest Stambuł.

— Aha, rozumiem. Operetka.

— Szukaj! Stambuł to nie operetka, tylko takie miejsce, gdzie Turki mieszkają... Zrozumiane?

— Zrozumiane!

Szukali przez długą chwilę w milczeniu.

Przez ten czas detektyw namyślał się co uczynić.

Wystąpić przeciwko nim z bronią w rękę? Było ich jednak dwóch. Musieli to być chłopcy nie od parady. Jeżeli tylko była minimalna możliwość, że ci ludzie nie dadzą się ująć — lepiej było zamiechać próby ich ujęcia. Więc jak postąpić? Dickson uśmiechnął się. Plan miał w jednej chwili gotów. Niech tamci pracują za niego. Będzie potem zbierał owoce ich pracy.

Stał dalej ukryty. Słyszał jak przewracali za kulisami jakby duże arkusze, jak przesuwali stołki i stoły.

— Może to?

Głupszy zwrócił się do swego przyjaciela, znawcy geografii, operetek i Turków.

— Co to ma być? — To ma być Stambuł?

— A dlaczego niby nie?

— Dlatego nie, zakuty łbie, że tutaj Turków nie widać.

— A po czym się Turków poznaje?

— Po brodach. Musowo po brodach. Czarna broda, krecona i na głowie taka czapka jak teraz elegantki na plaży kładą. Czerwona z frendzlem.

— Aha... Z frendzlem, powiadasz. Dobra. Będziemy szukać...

Szukali przez dłuższy czas. Dickson słyszał ich każde słowo i każdy ich ruch.

— Mam! — zawołał jeden z nich. — Jest Turek!

Widzisz go?

— Ma się rozumieć. Broda jest, frendzel jest tak samo. Turek cała gęba.

— Zabieramy i chodu!

— Dobra jest!

Teraz nastąpiła chwila działania dla detektywa. Zaczął swoim głosem:

— Tedy, tedy panie sierżancie i pan, panie posterunkowy. Tedy najlepiej. Nie śmiałbym panów fa-ygować, żebym ich nie widział. Dwóch rzezi-mieszków. Jednego zdaje się znam na wet. Niedawno wyszedł z Newgate!

Dickson uczynił trochę szumu i od razu mocno zmienionym tubalnym głosem ciągnął:

— Dobrze, dobrze. Niech tylko jeda! Tylko ciszej trochę panie dyrektorze. Spłoszy pan ptaszków...

— Dickson przeszedł w szept...

— Ciszej, słyszy pan...

Detektyw uderzył kilkakroć dłonią w płótno. Rozległ się głuchy łoskot, jak od trzepania.

— Zaraz się ich wypłoszy, — odezwał się znów niskim głosem rzekomego sierżanta.

— Złapać ich trzeba, a nie wypłoszyć, — rzekł piskliwym głosem udając z kolei rzekomego posterunkowego.

— Ci...cho!

Dickson zamilkł i przestał się ruszać.

Słyszał wyraźnie szepty tamtych dwóch...

— Wiać trzeba, bracie... Nie ma co... Właściciel nam policje na łeb sprowadził.

— Ale jak wiać?... Którędy? A co z obrazem będzie?

— A niech go jasny... Niech go diabli porwą. Uciekajmy, póki czas...

Przemknęli się cichaczem. Wyszli! Nie było po nich śladu.

Dickson wygrał, nie narażając się zupełnie. Usmiechnięty wyszedł z ukrycia.

Obraz, przedstawiający fragment Złotego Rogu, leżał na wierzchu.

Detektyw przyglądał się tej dekoracji do panoramy z wielkim zainteresowaniem.

— Przecież to zupełnie dokładna kopia tamtego obrazu, który oglądałem w sklepiku na Mile-End. Dlaczego Cheeseman malował identyczne obrazy, tylko w różnych rozmiarach... A może ten pierwszy mały był szkicem do dużego?...

Dickson nagle sobie przypomniał, że tamci mówili o jakichś plamkach.

Oświetlwszy obraz lampką kieszonkową — detektyw stwierdził, że obraz ma wyraźne, bynajmniej nie od przypadku pochodzące plamki.

Nagle Dicksonowi zaświeciły się oczy.

— Rozumiem! Wszystko rozumiem!

Te plamki na tle tego obrazu to jakiś plan... To może klucz jakiejś zagadki! Ale jakiej!?...

Detektyw wyjął notes i dokładnie, z zachowaniem odległości przerysował w zmniejszeniu figurę, jaka tworzyły punkty, oznaczając każdy z nich krzyżykiem.

Powstała w ten sposób figura podługowata, dziwnie jakoś detektywowi znajoma i coś przypominająca.

Nagle omal nie krzyknął.

— Mam! — rzekł półgłosem do siebie. — Przecież to gwiazdozbiór Hydry!

I nagle uderzył się w czoło.

Powrócił myślami do ponurej fasady oberży nad Tamizą i przypomniał sobie szylt nad drzwiami wejściowymi. Tam, gdzie wymalowane były trzy koguty, musiał przedtem figurować jakiś inny rysunek. Dickson zauważył to mimochodem. Ten dawny rysunek był częściowo tylko zatarty. Pod nowym dojrzał detektyw kontury starego. Na szyldzie, zanim wymalowane zostały trzy koguty figurował lew, waż i kozioł.

— Lew, waż i kozioł! — mówił do siebie detektyw. — Zgadza się! Właśnie hydra — owa bestia mityczna była potworem o trzech głowach: jednej lwiej, drugiej węzowej, trzeciej koźlej!

Dickson gotów był już do czynu. Jeszcze tej nocy musze znów przetrzasnąć oberżę należącą do Cheesemana.

Detektyw wyszedł na pustą o tej porze plac. Policzki paliły go jak w gorączce. Była to gorączka czynu i gotowość niezwłocznego działania.

Wokół ani taksówki, ani żywej duszy. Detektyw musiał iść aż do Great Eastern Street, nim znalazł jakąś zbłąkana taksówkę.

— Scotland Yard! — rzucił raczej bezwiednie.

Wóz przejechał już paret metrow, gdy Dickson zdał sobie sprawę ze swej pomyłki.

— Chciałem jechać do oberży, przecież, — rzekł do siebie, — a podałem Scotland Yard.

Mimo to Dickson już dyspozycji nie zmienił. Wpadł na myśl, że dobrze będzie, gdy przed pono-

PRAWDZIWA CZARNA I BIAŁA MAGIA

Każdy kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Czarodziejska tablica. Lustró magiczne. Polykanie ognia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Śpiewająca flaszka. Jajo w butelce. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrytych przedmiotów. Sztuki z rachunkami, z kartami. Seanse spirytystyczne. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy różne książki, komplet z 8 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z pięknymi ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. Adresuj: Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa I. Pl. Napoleona skr. poczt. 802 HD.



UWAGA: Bezpłatnie dodajemy najnowszą wszechświatową „Kabałę Indyjską”. Odgadywanie przyszłości. Sztuka wróżenia z kart i rąk.

wnymi poszukiwaniami w oberży, zasięgnie języka od archiwisty — Gilberta Tree.

— Żeby tylko Tree nie skończył pracy... Żeby tylko go zastał. Ale Dickson pocieszał się, że Mr. Tree zwykł był nieraz do późna w noc grzebać w swych starych papierach, w segregatorach, kartotekach i półkach.

Był to człowiek w policji londyńskiej nicoceniony. Posiadał mianowicie pamięć zjumiewająca. Nie było zbrodni w Londynie, popełnionej w ciągu ostatnich lat piętnastu — aby o niej Tree nie wiedział wszytkiego na pamięć.

Dzielny ten urzędnik nie zdziwił się zupełnie wizycie Dicksona. Znali się od dawna i Tree dobrze wiedział, że praca detektywa nie odbywa się według z góry ustalonych godzin biurowych.

— Witam! Jak się pan ma, Mr. Dickson. Jest widzę robota. Bo jeśli pan o tej porze nie pali fajki, nie czyta w swym mieszkaniu na Baker Street — pewnie jest coś ciekawego. Mam akurat ostatnie kieliszki rumu. Można?

— Bardzo proszę.

Tree nalał z pietyzmem niewielkie kieliszki.

— Jak pan wypije, to mi pan powie co o tym rumie myśli.

— Za pańskie zdrowie, kolego Tree!

Wypili.

— Rum jak z bajki, — pochwalił Dickson napój, którego tyk rozszedł mu się przyjemnym ciepłem po żołądku.

— Ma trzydzieści lat. Ani miesiąca więcej, ani miesiąca mniej. Ojciec go jeszcze zamknął w piwnicy

— Rum rumem, ale moi przestępcy też się dopominają, żeby o nich pogadać. Pamięta pan zbrodnię w oberży Pod Trzema Kogutami?

— Oczywiście.

— Czy ta oberża nie miała dawniej innej nazwy?

— Miała. Zreszta — tak bywa bardzo często. Nowy nabywca zmienia nazwę. Ta się kiedyś nazywała „Pod Trzema Dziłkimi Zwierzetami”. Lew, waż i jakieś bydlę rogate były wymalowane na szyldzie.

— Czy nie myślał pan nigdy, widząc te trzy bestie, że ta oberża mogłaby się o wiele krócej nazywać: „Pod Hydra”?

Gilbert Tree zerwał się na równe nogi.

— To bardzo ciekawe. Bo przecież Hydra ma swoje specjalne znaczenie.

— Jakie, mianowicie?

— Tak podobno nazywał się Jim Ghost, zbrodniarz, czyhał na życie kobiet. Coś w rodzaju nowego Kubu Rozpruwacza. Nie został dotąd ujęty.

Detektyw milczał przez długą chwilę. Myśli kłębiły się w jego głowie.

— Sprawa tego Jima Ghosta datuje się z przed dwudziestu laty i dotąd wyjaśniona nie została. Zbrodniarz ten ma na sumieniu dokładnie dwanaście morderstw. Przy trzech znaleziono rysunki, jakby podpisy zbrodniarza. Jeden rysunek wyobrażał lwa, drugi weża, a trzeci — kozła czy coś w tym rodzaju — razem „Hydra”, jak go nazwał pewien dziennikarz. Ale ta nazwa nie przyjęła się. Najczęściej mówią jeszcze o nim jako o Jimie Ghost.

— Zna pan pewnie nazwiska ofiar zbrodniarza?

— Oczywiście.

I Mr. Gilbert Tree, archiwista Scotland Yardu począł wyliczać detektywowi nazwiska ofiar zbrodniarza, począł sypać, jak z rekiawa, szczegółami, popisując się, istotnie, niezrównaną wręcz pamięcią.

— Zaraz, zaraz, — zatrzymał go w pewnej chwili detektyw. Powiada pan: lady Hayfield, lady Barden, lady Santey i lady Fire... Przecież te wszystkie damy są najbliższymi krewnymi lady Hortram... Tak, czy nie?!

— Tak jest. Przez męża lady Hortram. Ale na tym tak dobrze, jak na zbrodniach w Londynie, już się nie znam.

Dickson wstał. Był skupiony i bardzo poważny.

— Tree, — rzekł. — Jeżeli mi się uda rzucić światło na tamte sprawy z dawnych lat i na te ostatnia, niech pan pamięta, że pańska zasługa będzie w tym conajmniej równie wielka, jak i moja. Z góry już panu dziękuję.

Tree machnął ręką:

— Nie ma o czym gadać. Widzę tylko, że mi mistrz niedługo nadeśle nowego zbrodniarza, żebym sobie zapamiętał jego wyczyny... A może i samego Ghosta?

— Czy ja wiem, — rzekł detektyw. — Może i Ghosta...

Dickson był już u drzwi, gdy coś sobie przypomniał.

— Pamięta pan przecież twarze naszych klientów, równie dobrze jak i ich dzieje...

— O kogo chodzi, Sir. Słucham.

— Młody człowiek, charakteryzuje się w ten sposób, że podbija sobie oko i zalepia plastrem. Małe wąsiki, a la Chaplin... Nawet mu najgorzej z oczu nie patrzy.

Gilbert Tree słuchał tego opisu z zamkniętymi oczami i kiwając głową, jakby mu w pamięci zarysowywał się powoli obraz z jego niezliczonych albumów rzezimieszków, oszustów i t. p.

— Mam, — rzekł wreszcie. — Już wiem. Może pan dalej nie mówić. Akta „U 334”. Dział podejrzanych. Ten pan nazywa się Lionel Redmond. Mieszka przy Colwyn Street 41.

— Co to za jeden?

— Trochę niebieski ptak, zlekka szantażysta. Ale nie karany.

— W jakiej sferze „pracuje”?

— Śród złodziei i bandytów. Od nich wymusza.

Detektyw pożegnał się z archiwistą.

— Noc zapowiada się bardzo interesująco, — rzekł do siebie. — Trzeba będzie jednak zmienić trochę porządek pracy.

Zamiast kazać się wieźć do Hammerstmith, do oberży pod Trzema Kogutami — detektyw rzucił szoferowi adres: Colwyn Street.

U drzwi mieszkania Mr. Lionela Redmonda Esq. Dickson zadzwonił.

Nikt nie otwierał.

— Trudno w takim razie, — rzekł Dickson do siebie. — Będziemy musieli wejść w inny sposób.

Zamek wielkich trudności nie nastreczał. Dickson znalazł się po chwili w eleganckiej garsonierze szanownego pana Redmond-Jengl w jednej osobie.

Już od progu wzrok detektywa padł na lornetki, ułożone przy oknie.

— Mr. Redmond-Jengl zajmuje się obserwacjami astronomicznymi!... To bardzo ciekawe!

Przez chwilę detektyw namyślał się. Starał się zorientować w położeniu.

— Colwyn Street — rzekł nagle. — Przecież to w sąsiedztwie Lambeth Street! A tamta fasada naprzeciwko — to dom lady Hortram!

Dickson uchylił zlekka roletę i okiem zbrójnym w lornetę — spojrział naprzeciwko. Ten sam pokój, który przedtem obserwował Redmond — był i teraz oświetlony. Dwie postacie kobiece stały pośrodku pokoju.

— Służące zmarłej, — ustalił detektyw. — To dziwne... Osoby w ich wieku już powinny spać.

Dickson nastawił lepiej szkła. Dojrzał teraz obie służące bardzo wyraźnie.

— Mabel i Matylda... Poczciwe, wierne służące. Nigdybym nie przypuszczał, że mają takie złe twarze.

Istotnie dwie stare wiedźmy spoglądały na siebie ze złymi błyskami w oczach.

— Szkoda, że nie mogę tak dobrze ich słyszeć, jak widzę, — pomyślał detektyw. — Patrzcie państwo... Szykują się do wyjścia. Oto Matylda, która nakłada aż pelerynę z kapiszonem, a Mabel — kapelusz z gęstą woalką.

Dickson odłożył lornetkę i cichym krokiem wyszedł z domu. Taksówka czekała przed domem:

— Jestem z policji, — rzekł do szofera. — Będziemy mieli całą noc robotę. Płace, jak każdy inny. Liczę na pańską pomoc. Pojedźcie pan do rogu Lambeth Road. Jest rzeczą pewną, że zobaczy pan samochód, do którego będą wsiadały dwie panie. Chodzi o to, aby za tym wozem jechać, ale tak, żeby się tamte nie spostrzegły.

— Tak jest, Sir, — rzekł szofer.

Wóz ruszył. Na Lambeth Road nie było wozu. Natomiast już w pierwszej chwili ujrzeli dwie kobiety, idące dobrym krokiem aż do Saville Street. Tam dopiero czekał na nie mały wóz z przygaszonymi światłami.

Ku zdumieniu Dicksona sama Matylda siadła za ster i prowadziła samochód.

— Ktoby to pomyślał, że taka stara służąca potrafi prowadzić samochód...

Bardzo szybko stwierdził detektyw, że szanowne damy zmierzały w kierunku Hammersmith.

Mgła, która zawisła nad miastem była teraz pomocą detektywowi. Samochód marki Morris, którym jechały obie kobiety — był jakby raz po raz rozplywającym się we mgle cieniem.

Ukazały się wreszcie światła przedmieścia Hammersmith. Morris zwolnił bieg i wjechał w uliczkę, sąsiadującą z tragiczną oberżą. Mały wóz zatrzymał się. Dickson zahamował również i swoją maszynę.

Już teraz z dużą ostrożnością ruszył detektyw na zwiady. Znalazł wóz ukryty w małym ślepym zaułku. Służących już nie dojrzał.

— Widać jest w tej stronie jakieś potajemne wejście do oberży — pomyślał.

Obszedł rudere i nie zwracając uwagi na pieczęcie urzędowe — otworzył drzwi.

Był w środku ponurego zakładu. Ujrzał odrapaną salę „towarzystwa“ i „salę zebrań“. Nic się tutaj nie zmieniło. Tylko jeszcze smutniej było w całym domu. Z ulicy padało skąpe, ale wystarczające światło pobliskiej latarni. Cisza w całym lokalu była kompletna.

Hary Dickson westchnął. Zdawał sobie dośkonale sprawę, czuł to z całą mocą, że gdzieś w tym budynku mieścić się musi odpowiednik owej odkrytej przezeń niedawno hydry. Tylko gdzie tego odpowiednika szukać?.. Noc była krótka. Czy takie poszukiwania — to nie szukanie igły w stogu siana?..

Dickson jakoś uporczywie trzymał się sali „towarzystwa“, jakby właśnie tu, a nie gdzieindziej, znaleźć miał rozwiązanie dręczącej go zagadki. Już od pierwszej bowiem chwili zwrócił uwagę, że podłoga była wyłożona wielkimi kamieniami, choć pod nią nie było piwnicy... Gdzieś powinno być jakieś podziemne przejście. Tylko, znów, gdzie i, znów, jak się do niego dostać?..

Przypomniał sobie o obrazku z Mile-End, o tym widoku z nad Bosforu i żałował, że go ze sobą nie zabrał. Z uporem maniaka wracał do tego obrazka, jakby w nim znaleźć miał klucz obecnych poszukiwań. Wzrok detektywa błądził po gołych, brudnych ścianach oberży.

Co to takiego?!..

W głębi pod sufitem widać było jakby mały prostokąt, odznaczający się od tła jasnym kolorem. Jakby w tym właśnie miejscu wisiał kiedyś obraz...

Obraz?.. Detektyw zbliżył się do tego miejsca. Stał na krześle i począł się temu miejscu przyglądać.

Przecież prostokąt, jaki odznaczał się na ścianie, był wymiarami zupełnie równy obrazowi, jaki oglądał w sklepiku w Mile-End!

Z gorączkowym pośpiechem zapalił Dickson swą kieszonkową latarkę. Czuł, że stoi w obliczu odkrycia, które zadecyduje może wreszcie o powodzeniu bezwzględnych dotychczas dochodzeń.

Snop bladego światła zaalał ścianę...

Przez chwilę nic nie było widać. Nic, tylko goła ściana...

Dopiero po dłuższej i bacznej obserwacji dojrzał detektyw małe dziureczki: jakby ktoś nakłutł ścianę w kilku miejscach. Nagle detektyw zarzął! Przecież te ledwie widoczne nakłucia tworzyły konstelację Hydry!

Bez chwili namysłu wyciągnął szpilkę ze swego krawata i zagłębił ją w pierwszym nakłuciu. Szpilka weszła na całą prawie długość. Rozległ się lekki trzask, jakby gdzieś poruszyła się sprężyna.

Teraz już było wszystko zupełnie jasne! Klucz do rozwiązania tajemnicy został odnaleziony. Tym kluczem była szpilka, którą należało zagłębić w otworach, naznaczonych na obrazie.

Detektyw powtórzył ten manewr kilkakrotnie. Gdy wreszcie po raz ostatni, już po ostatnim nakłuciu, wydobyl szpilkę — zdawało mu się, że słyszy dalekie podziemne łoskoty, jakby słaby grzmot szczył się pod ziemią.

Dickson miał tyle tylko czasu, że zdążył odskoczyć w bok. U jego stóp kamienie posadzki porzęły się jakby wahać i kołysać. Po paru chwilach

Kilka kamieni usunęło się. Z otworu, który teraz zionął ciemnością — wylonila się cienka, ale bardzo mocna drabinka metalowa. Nie wahając się ani przez jeden moment, Dickson postawił nogę na pierwszym szczeblu drabiny.

Schodził stopień za stopniem, powoli i ostrożnie. Czuł, że ogarnia go coraz większy chłód.

Drabina była bardzo długa, ale po przebyciu połowy jej długości, detektyw miał wrażenie, iż powietrze staje się cieplejsze i jakby nawet przesycone pewnymi wonnościami. Wreszcie poczuł pod nogami twardą ziemię.

W tej samej chwili, o kilkadziesiąt metrów nad jego głową — kamienie zsunęły się z głuchym łoskotem i ogarnęła go kompletna ciemność.

W krainie trwogi i cudów

Marcin Jengl poczuł, że auto zwałnia i że za chwilę się zatrzyma. Nie wiele myśląc, wyskoczył z walizki na chodnik. Jakoś nie dobrze skoczył, gdyż przewrócił się i przez chwilę był od tego upadku oszołomiony. Podniósł się jednak i właśnie rozglądał się, dokąd się udać — gdy jakaś sta-

ślał Redmond, — przekonany, że to właśnie młodego ucznia Dicksona dźwiga ktoś za nim w worku.

Krótko potem usłyszał Redmond otwieranie drzwi. Wepchnięty został do pokoju a człowiek, który go prowadził, zwrócił się do niego:

— Zaraz tu będzie jasno. Radzę ci, Redmond, żebyś się nacieszył światem, bo wkrótce nie będziesz go już wcale mógł oglądać.

— Nie lękam się, — rzekł Redmond poprzez worek. — Przegrałem — i na tym koniec.

Nagle zdarto mu worek z głowy, a nie przywykłe do światła oczy oślepiła ostra jasność. W tej samej chwili ktoś go pchnął i kazał sięść w fotelu.

Wreszcie gdy i oczy przywykły do światła, a umysł oswoił się z otoczeniem, stwierdził Redmond, że znajduje się w bardzo starannie umeblowanym salonie, urządzonego w stylu wschodnim i że ma przed sobą jakąś dziwną postać.

Był to wysoki mężczyzna o długiej, czarnej brodzie, ubrany w surdut napół europejski, napół wschodni, w fez, z długą, zgiętą szablą u boku. Oczy, dzikie i wyjątkowo czarne, rzuciły na więźnia dzikie spojrzenia.

Redmond zmarszczył czoło...

— Nie, przecież to nie do wiary, — mówił do siebie, jakby poznawał w owym nieznanym kogoś z ludzi, z którymi już miał do czynienia.

— Co mówisz, psie niewierny?

— Nic, co mogłoby ekscelencję zainteresować, — odparł młody człowiek z wyraźną ironią. — Ale jeżeli panu tak bardzo na mojej opinii zależy — powiem, że ten mundur, czy ten strój, wydaje mi się akurat w Londynie bardzo nie na miejscu.

— W Londynie? — zawołał człowiek z fezem.

— Nie jestem w Londynie, lecz w kraju cudów!

Twarz jego zmarszczyła się w strasznym grymasie i po chwili przez zaciśnięte zęby wycedził:

— Jestem w krainie, której wrota są dla mnie zamknięte, a do których klucza nie mogę uzyskać — przez straszną niesprawiedliwość losu.

Powiódł dłonią po czole i znów oczy jego stały się dzikie i złe.

— Jesteś bogaty i jesteś oszustem, Redmond. Powiedz mi, dlaczego utrzymujesz taką marną budę jarmarczną.

— Z czystej fantazji, Ekscelencjo. Jestem dziwakiem, jestem oryginałem.

— Jesteś przede wszystkim bandytą — wrzasnął człowiek w fezie — jesteś przebiegły i sprytny. Obserwuję cię od dłuższego czasu i wiem to samo, co ty wiesz.

— Czyżby? — rzekł Redmond najniewinniejszym w świecie tonem. — A cóż to takiego ma być?

— Wiesz dobrze! Mam na myśli tajemnicę obrazu z nad Bosforu, namalowanego przez tego łotra Cheesemana.

— Tajemnicę?... A to dobre! Wcale o tym nie wiedziałem. To bardzo zabawne.

Nieznamy klasnął w dłonie:

— Znam inne rzeczy, jeszcze bardziej zabawne. Zaraz się o nich przekonasz.

PALACZE TYTONIU RATUJCIE ZDROWIE NIKOTYNA ZATRUWA ORGANIZM



Możecie w sposób łatwy i przyjemny odzwyczaić się w ciągu 3 godzin od palenia. Zamówcie zaraz nasz wieczny papieros „Ideal”, a ochronicie swe zdrowie przed niszczącym wpływem nikotyny. — Papieros „Ideal” daje możliwość zaciągania się i oddziaływa zbawienne na błonę śluzową nosa i gardła. „Ideal” wzmacnia i krzepi organizm, dając zadowolenie duchowe i fizyczne. Mnóstwo listów dziękczynnych! — Cena zł. 2,45. Płaci się przy odbiorze. Nie zwlekajcie! Zamówcie — póki nie jest zapóźno! Straconego zdrowia nie odzyskacie za żadną cenę! Płaci się przy odbiorze. Adresuj: Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa I. Pl. Napoleona skr. poczt. 802 HD.

lowa dłoń schwyciła go za kark, przykuwając do miejsca, w którym stał.

— Jesteś, szpiegu przeklęty! — Myślałeś, żeśmy cię nie widzieli za wozem, że nie wiedzieliśmy kogo wieziemy?... Głupiec z pana, Mr. Redmond.

— Wpadłem — rzekł do siebie młody człowiek. Człowiek, którego twarzy nie mógł Redmond dojrzeć, zarzucił mu worek na głowę, a ciężka dłoń pchnęła go przed siebie.

— Kto w ten sposób żyje, musi się liczyć z tym, że kiedyś w bardzo niemiły sposób życie zakończy, Mr. Redmond. Trzeba było o tym pamiętać...

Redmond nie słuchał co ów głos mówi, tylko słuchał samego głosu. Znał ten głos skądś. Tylko gdzie i kiedy go słyszał? Do kogo ten głos należał?

Prowadzili go długim korytarzem. Echo kroków rozlegało się w pustym widocznie pomieszczeniu. Za nim ktoś dźwigał ciężar pokaźny, gdyż słychać było jego sapanie.

— To pewnie ten biedak, Tom Wills, — pomy-

Uniosła się jakaś zasłona, weszło trzech kolorowych ludzi. W ręku jednego z nich błyszczał krótki zagięty miecz.

— To moi pomocnicy, — przedstawił ich z szyderstwem w głosie nieznamy. — Ten z mieczem — to były kat.

— Moje uszanowanie panu. Mam nadzieję, że nie przybył pan wyłącznie w tym celu, aby prędzej czy później zawrzeć znajomość z kolegą swoim z więzienia w Newgate?

— Dosyć żartów! Gadaj!

— Z miłą chęcią. Jestem z natury bardzo rozmowny.

— Pan Redmond lubi żarciki. Ja znam się na żartach. Bardzo dobrze znam się na nich.

Człowiek w fezie zwrócił się do swych ludzi:

— Na tortury z nim! I przebrać go w szaty torturowanych.

— Sytuacja staje się poważna, — rzekł znowu do siebie Redmond, widząc jak go ów kat rozbiera z wprawą i szybkością, że pozazdrościłby mu nie jeden transformista.

Istotnie, po kilku chwilach stwierdził młody człowiek, że odziany jest w szerokie szarawary, w krótką czerwoną kurtkę i koszulkę bez rękawów.

— Wolałbym smoking, panie kacie...

— Achmed! Podaj mu rękę.

Kat zamiast dłoni, schwycił całą głowę Redmonda. Po chwili poczuł on straszny ból w okolicach ucha. To kciuk kata zagłębił się w jakieś specjalnie wrażliwe miejsce.

— Jeżeli zależy ci na tym, aby umrzeć z wyluskanymi oczami — milcz dalej, — rzekł nieznamy ochryplym od wściekłości głosem.

Redmond począł ważyć swe szanse. Nie zwykł był rezygnować. Wiedział, że wraz z nim, więźniem tego dziwnego człowieka, — był i Tom Wills. A Tomowi musi ktoś przybyć z pomocą. Może nawet sam Harry Dickson.

Postanowił tedy działać na zwłokę.

— Cóż mam mówić, jeżeli nie wiele wiem. Naturalnie, gotów jestem powiedzieć, co tylko chcesz, ekscelencjo, byłem uszedł z życiem.

— Więc mów. Mów co wiesz!

— Straciłem dużo czasu i miałem wielkie wydatki, mimo to wszystko ustaliłem. — Redmond próbował przejść na tory rozmowy handlowej.

Człowiek w fezie roześmiał się głośno:

— Nareszcie prawdziwy Redmond. Oszust, niebieski ptak, szantażysta, który nawet na łożu śmierci musi zarobić. Ile żadasz?

— Sto funtów, ale nie tureckich, lecz angielskich.

— Dostaniesz.

— Proszę bardzo. Gotówka na stół, szanowny panie.

— Musi to potrwać trochę.

— Ja mam czas, poczekam.

Nieznamy znów się roześmiał, ale tym razem śmiechem, przez który przebijała wściekłość.

— Pogadałbym ja z tobą w innych okolicz-

**NAJMILSZY
UPOMINEK**

dla dzieci i młodzieży
bez różnicy wieku to

„Kalendarz Karuzeli”

NA 1939 ROK

Dane statystyczne — Wiadomości ze świata — Opowiadania — Nowele — Anegdoty — Filmy rysunkowe z Pattem i Patachonem na czele — Bogaty wybór dowcipów — Do nabycia wszędzie

CENA NUMERU 30 GROSZY

nościach. Ale tym razem ty masz mnie w ręku. Bo co mi przyjdzie, jeśli głowę twą utnie Achmed?... Poczekaj...

Nieznamy wyszedł. Redmond po chwili słyszał obracającą się tarczę telefonu i potem głos nieznanego, który mówił:

— Przyjdziecie obie i przyniesiecie tysiąc funtów. Po chwili nieznamy wszedł i rzekł do Redmonda:

— Nie wypadnie długo czekać. Pieniądze wkrótce będą.

— Bardzo dziękuję. Teraz, gdy jesteśmy już na stopie przyjacielskiej — niech mi pan powie szczerze, czego pan szuka. Czy ma pan na myśli ten obraz Cheesemana?

— Tak jest. To mój raj utracony.

— Znam do niego klucz.

— Powiedz, w tej chwili powiedz

— Niestety, nie wiele mam do powiedzenia. Znam klucz, ale nie wiem, gdzie jest zamek, do którego ten klucz pasuje. Jeżeli pan chce, możemy poszukać go razem.

W tej chwili rozległy się gdzieś trzy lekkie uderzenia.

— Niech wejdą, — rzekł nieznamy do jednego ze swych sług.

Słychać było jakieś szepty za drzwiami i po chwili z za zasłony wyłoniły się dwie starsze już kobiety, mocno zawoalowane.

— Oto pieniądze, — rzekła starsza z nich, — podając je człowiekowi w fezie.

— W porządku, — rzekł nieznamy, po dokładnym przeliczeniu. — Te pieniądze należy być do ciebie, Redmond, jeżeli mi wskażesz drogę, jeżeli mi umożliwisz dostęp do mej krainy cudów.

— Powiedziałem, że zrobię co będzie w mej mocy. Słowa nie cofam. Czy w tym domu jest

Książki, które powinny się znaleźć
w każdym domu:

KALENDARZ CO TYDZIEŃ POWIEŚĆ

zawiera: powieści i opowiadania szpiegowskie, humoreski, nowele, rady praktyczne, wiadomości o Polsce i świecie

KALENDARZ EXPRESSU ILUSTROWANEGO

NA 1939 ROK

mnóstwo ilustracji, kopalnia złotego humoru, reportaże, opowiadania, obszerny dział informacyjny, spis jarmarków, nowa taryfa pocztowa, wskazania praktyczne dla pań domu.

DO NABYCIA WSZĘDZIE

Cena każdego kalendarza — 80 groszy

gdzieś obraz, przedstawiający Bosfor, czy Złoty Róg? Obraz musi być taki sam, jak w mojej budzie.

Człowiek w fezie zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

— Dawniej był tu taki obraz, wisiał w sali jadalnej, ale potem go Cheeseman przeniósł.

— Dokąd?

— Do jednej z izb w tym podziemiu.

— Chodźmy tam.

Pod eskortą czarnych przeszedł Redmond do małego pokoju w sąsiedztwie. Obraz mały, ale o tej samej treści co ów z Mile-End, wisiał istotnie na ścianie. Redmond przyjrzał mu się bliżej. Przekonał się, że obraz nie wisiał, ale był dość głęboko wpuszczony w mur. W następnej chwili młody człowiek omal nie krzyknął:

— Hydra jest! Wygraliśmy!

— Hydra?! — zawołał nieznajomy, błędąc.

— Uwolnijcie mi jedną rękę. I dajcie mi dużą szpilkę.

Drżącą dłonią ujął Redmond szpilkę i rozpoczął przy jej pomocy nakłuwanie identyczne, jakiego dokonał na górze Dickson.

Rozległ się grom stłumiony i nagle cały pokój zapadł się jak winda w głąb.

Ludzie poupadali wszyscy, niektórzy potłukli się nawet. Nagle uderzyła ich sącząca się skądś delikatna, rozproszona jasność. Wszyscy wydali okrzyk zdumienia, nie wyłączając Redmonda. Światło stawało się coraz mocniejsze. Wreszcie stały się widoczne zarysy domów, wież i wybrzeża morskigo. Wylonilo się niebo błękitne i szafirowe morze.

Człowiek w fezie złożył ręce jak do modlitwy i mówił w zachwycie:

— Kraina cudów! Mój kraj! Moja ojczyzna! Tutaj byłem i tutaj będę znów panem wyłącznym. Tutaj służyć mi będą najpiękniejsze kobiety Anglii,

które już nigdy nie ujrzą swych stron rodzinnych. Tutaj nie dotrze nigdy policja.

Zwrócił się do Redmonda z gorzącym spojrzeniem:

— Głupcze! Czy sądzisz, że ci dam te pieniądze? Nie, nigdy! Wy dwaj będziecie pierwsi. Ty zginiessz we wodzie, tej tutaj, prawdziwej, ale przedtem jeszcze zabarwisz ją swą własną krwią, a tamtego wrzucimy w worku. Achmed! Do roboty.

Kat podniósł miecz. W tej samej chwili rozległ się grom wystrzału. Kula trafiła w ostrze katowskiego miecza.

Padł drugi strzał. Za nim trzeci.

— Ręce do góry!

To głos Dicksona.

— Niech mi pan pomoże otworzyć ten worek, Redmond, — zwrócił się detektyw do młodego człowieka.

★

Na górze, w „Sali Towarzystwiej“ oberży, Dickson przyglądał się swym więźniom. Byli nimj nieznanomy w mundurze dawnego wojska otomanskiego, dwie kobiety i trzech ciemnoskórych.

— Zdolny z pana człowiek, Redmond. Szkoda tylko, że swe zdolności zwraca pan w tak złym kierunku.

— Działam tylko śród przestępców, — tłumaczył się młody człowiek.

— Wiem o tym, to też dla tego gotów jestem na twe sprawy patrzeć przez palce. Ale musisz mi przyrzec, że do tego procederu już nie wrócisz. Pomyślmy o twej przyszłości.

— Przyrzekam, — rzekł Lionel Redmond.

— A teraz proszę mi powiedzieć, co panu wiadomo w tej sprawie.

— Pracowałem niegdyś z Cheesemanem. Był to niezwykły człowiek. Bardzo utalentowany. Wiem, że odkrył pod oberżą w Hammersmith jakieś stare kamieniołomy, czy kopalnię — już zupełnie wyeksploatowaną. Tam właśnie zainstalował swoją iluzję optyczną z widokiem Bosforu i stworzył pod ziemią pejzaż tamtych stron. Zeszedł się potem z jakimś Jimem Ghostem — człowiekiem niespełna rozumu. Ten Ghost, gdy został sprowadzony w podziemia, gdy mu Cheeseman pokazał ów pejzaż południowy postradał zmysły; do reszty. Począł sobie wyobrażać, że jest sultanem tureckim, że jest Abdul Hamidem — Czerwonym Sultanem!

I właśnie wtedy grasował w Londynie zbrodniarz, który porywał damy z najlepszego towarzystwa.

Jim Gost zniknął nagle z Londynu, ale ja jeden wiedziałem, pod jaką maską krył się przez czas dłuższy. Próbowałem go szantażować. Obawiając się mnie — skrył się jeszcze lepiej.

Na ten właśnie okres przypada śmierć Cheesemana. Ghost pojawia się znowu jako Barlett i nabywa od jego spadkobierców oberżę.

Daremnie szukał owego mirażu podziemnego. Daremnie i ja szukałem dostępu choćby do podziemi, przekonany, że Cheeseman ukrył gdzieś w opuszczonej kopalni swój wielki majątek. Dopiero w

ostatnich dniach ustaliłem, że owe obrazy i wejście do podziemi mają jakiś związek. Odkryłem Hydre w pół godziny po panu, mistrzu.

— A teraz, Redmond, co panu wiadomo o zgonie Lady Hortram.

— Wszystko. Jim Ghost zmusił ją, aby z nim tutaj zamieszkała. Ghost był bowiem jej mężem, był lordem Hortram, a lady Berta kochała go! Aby się ode mnie uwolnić, udawał lord, że zmarł. Żył jednak jako Barlett właśnie tutaj.

— Dlaczego ją zabił?

— Bo stracił do niej zaufanie. Obawiał się, że go zdradzi.

★

Lord Hortram został umieszczony do końca dni swoich w zakładzie dla obłąkanych. Dwie służące, jego współpracownicy, skazane zostały na wiele lat więzienia.

Redmond porzucił swój zawód. Odnalazł część majątku Chesemana, uzyskał duże znaleźne i za te pieniądze założył jeden z najpiękniejszych namiotów widowiskowych w Anglii.

Oberża została z nakazu władz rozebrana, a dawna kopalnia — zalana wodą.

Koniec



Następny **Nr. 50 Herry Dicksona**,
który ukaże się we wtorek, dn. 20-go grudnia
zawierać będzie przygodę pod tytułem:

„Przygoda malajska”

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności przeistaczania się, w niezrównanej jego sztuce przebierania się, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją twarzą, swym głosem, a nawet swym wzrostem — tkwi widocznie tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym.

Harry Dickson odznacza się nieustraszoną odwagą, jego oko przenika to, co jest najskrytszego, ruchliwość jego umysłu pozwala mu się wywikłać z najmniej bezpiecznej sytuacji, genialną intuicją rozwzuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej prowadzi go zawsze do pożądanego celu.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|------------------------------------|---------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“ | 25. WOSKOWE JABŁKO |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 26. WIELKA GRA. |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“ | 27. HOTEL EMIGRANTÓW. |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“ | 28. KRWAWE KLEJNOT |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“ | 29. SZTUCZNE ZŁOTO. |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“ | 30. CZARNY MŚCICIEL. |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“ | 31. KSIEŻYC BIRMAŃSKI. |
| 8. „KRÓL NOCY“ | 32. POŻAR W MIASTECZKU. |
| 9. „POSEPNA KABAŁA“ | 33. ZŁOWIESZCZY ŚNIEG. |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“ | 34. WILKOŁAK. |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“ | 35. GWIAZDA POLARNA. |
| 12. „KAPIANKA OGIA“. | 36. KWADRATOWE OKNO. |
| 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY | 37. WODNY CZART. |
| 14. ŻYJĄCY BUDDA | 38. DUCH W ZAMCZYSKU. |
| 15. WIDMO TUŁACZA | 39. UPIÓR W TEATRZE |
| 16. SKRADZIONY TESTAMENT | 40. DEMON WIATRU. |
| 17. DUCH ŚWIATŁA | 41. SOBOWTÓR. |
| 18. CZERWONA DAMA | 42. NIEWIDZIALNY MĘDRZEC. |
| 19. MIASTO PIRATÓW | 43. DANCING NA BŁOTACH. |
| 20. POSTRACH LONDYNU | 44. PRZEDZIWNY HOTEL. |
| 21. Tajemnica Łodzi podwodnej | 45. SREBRNA MASKA. |
| 22. NIEBIESKI BOCIAN | 46. SIEDEM KRZESEŁ. |
| 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO. | 47. DIABELSKI SKARB |
| 24. HAWAJSKI SZTYLET. | 48. KAT LONDYŃSKI |

Czytajcie

Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

Cena

10 gr.

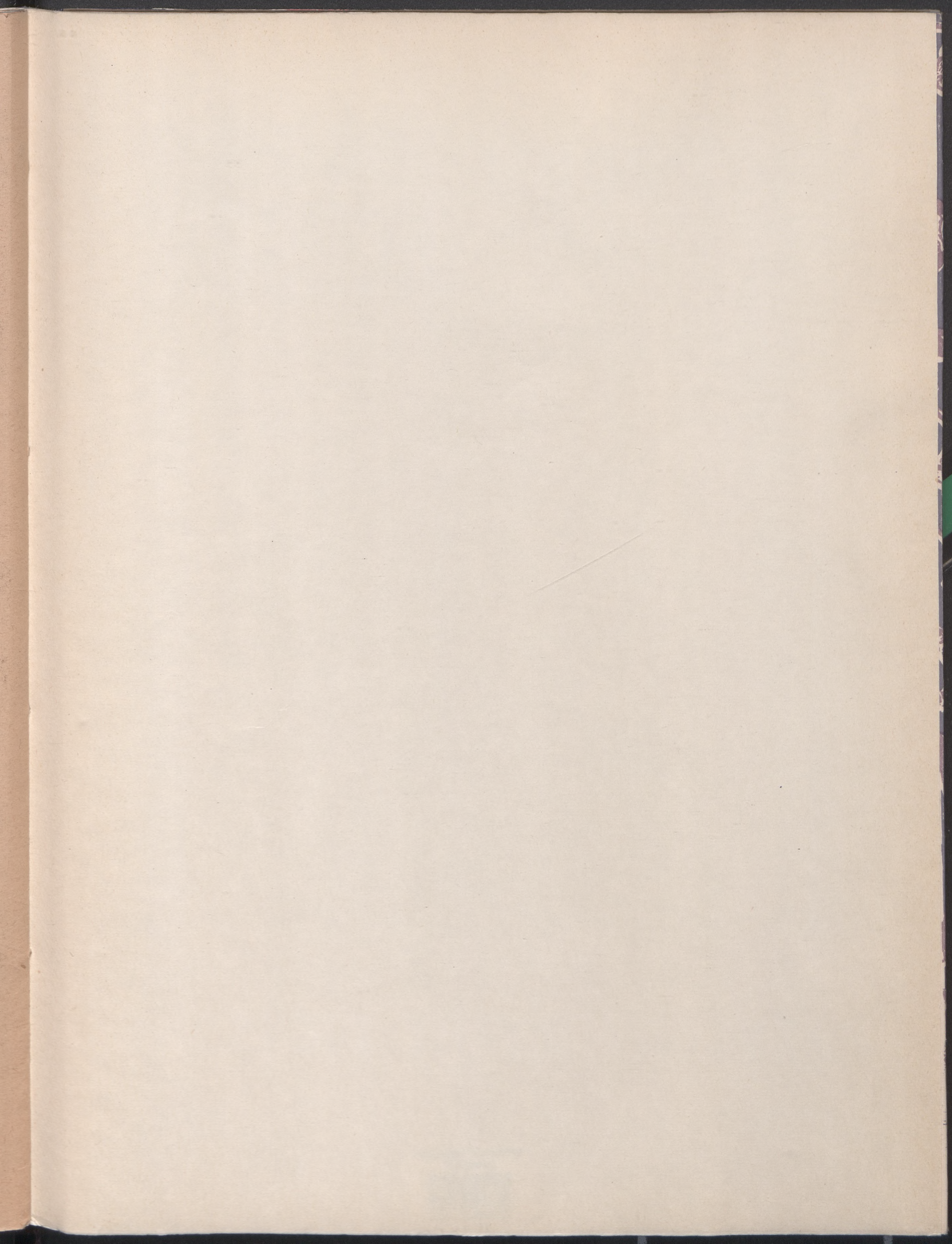
szyt, stanowiący oddzielną całość

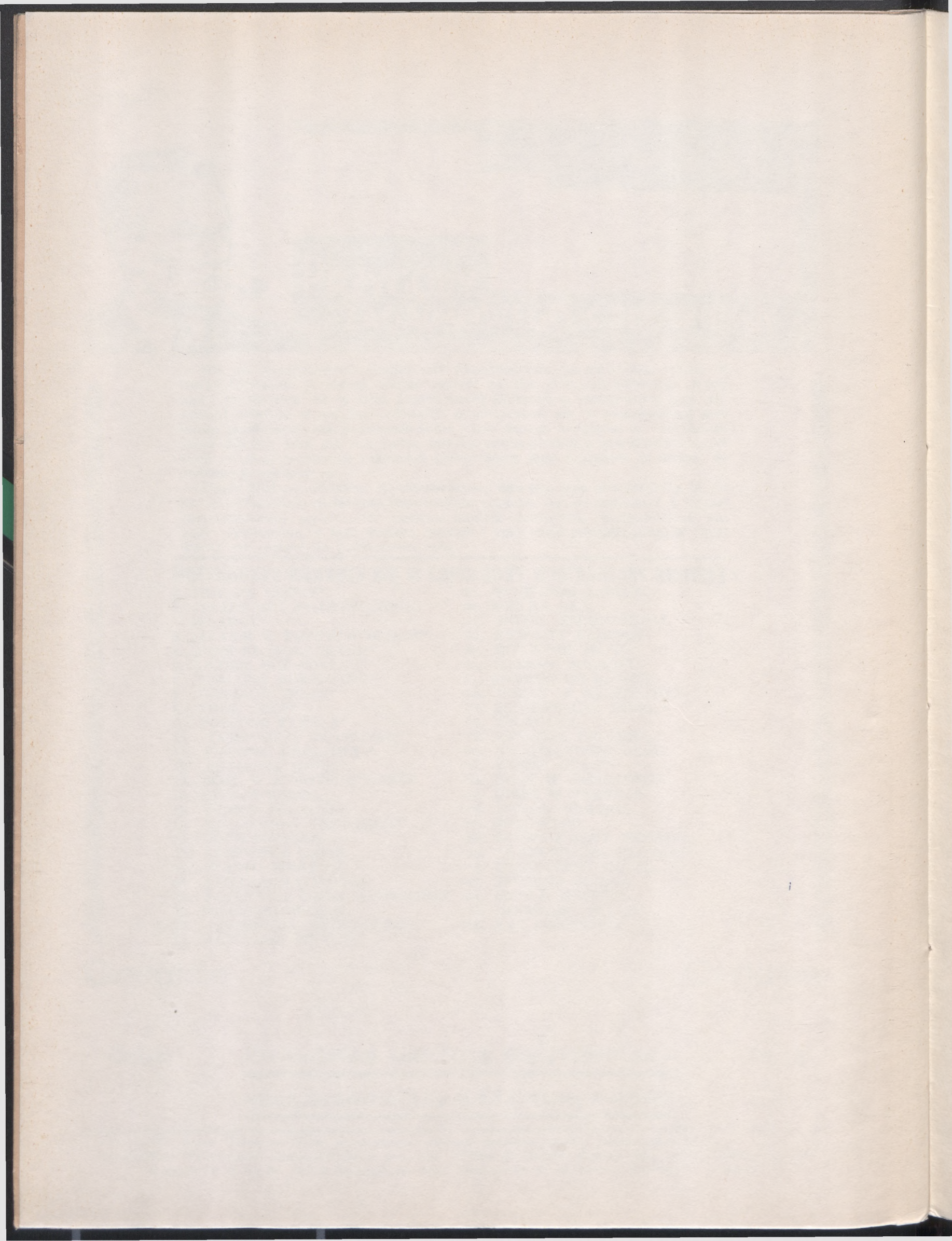
10 gr.

REDAKTOR: Antoni Weiss. — Odpow. za ogłoszenia i reklamy Konstanty Łosiew. Zamieszkali w Łodzi.

WYDAWCA: Wydawnictwo „Republika” Sp. z ogr. odp. — Oddito w drukarni własnej, Łódź, ul. Piotrkowska 49 i 64.

Konto P. K. O. 68,148. Adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



3000102436627



2dj
623405/49

BN

BN

BN

BN

BN